Nr. 28 (19) Lwów, dnia 1. Października 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek. półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu i Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

Do Szanownych Czytelników.

Czasopismo ***„Ruch“*** wydawane i redagowane od dwóch lat we Lwowie przez p. *Stanisława Błotnickiego* zlało się na dniu dzisiejszym z naszem wydawnictwem Ponieważ nastąpiło to w ciągu roku, nim drukujące się utwory mieliśmy czas pokończyć, przeto połączenie w formie teraźniejszej jest tymczasowe, i dopiero od grudnia r. b. pismo nasze ***zacznie wychodzić jako tygodnik*** w takim kształcie i rozmiarach, jakie już teraz uznaliśmy za niezbędne.

Każdy prenumerator ***„Wieczorów zimowych“*** otrzyma ***na żądanie*** 18 zeszytów ***„Ruchu“*** z b. r. za zniżoną dopłatą **3** złr. zamiast **5** złr. **40** ct, oprócz tego ***bezpłatnie*** początek odznaczonej na konkursie warszawskim powieści Waleryi Soleckiej p. t: ***„Henryk Szczerba“***, prenumeratorowie zaś ***„Ruchu“*** mogą dostać po cenie zniżonej, mianowicie za **3** złr. (**6** marek) zamiast **4** złr. **50** ct (**9** marek) wszystkie wydane dotąd numera ***„Wieczorów zimowych“*** w których znajduje się 5 tomów pięknych powieści, obok wielkiej liczby innych artykułów.

*Prenumerata do końca roku wynosi **1** złr. **50** ct. Prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty, ten bowiem, kto jej do dnia 10. października nie złoży, nie otrzyma następnego numeru.*

Prenumeratę należy wysyłać pod następującym adresem: Administracya **„Ruchu i Wieczorów zimowych“ w drukarni nar. W. Manieckiego, Lwów, ul. Kopernika l. 7.**

Lwów, dnia 1. października 1888 r.

Wydawcy.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Po polityce, która najwięcej czasu zajęła, przyszła kolej na gospodarstwo, potem na sprawy finansowe. Jak w jednem, jak w drugich, pan Bielski był znowu sędzią stanowczym, którego wyroków nie zdołałby obalić żaden trybunał. Pan Miliński więcej słuchał niż mówił, bo go wujaszek rzadko kiedy do głosu dopuszczał. W duchu jednak bardzo się cieszył, samą już myślą, że wielką przyjemność sprawi swojej teściowej, gdy jej przywiezie gościa tak chętnie mówiącego.

— Pan Bielski, jakby się tego domyślając, nagle zapytał:

— A twoja teściowa gdzie się teraz obraca?

— Jest u mnie, w Trzcińcu.

— A na długo przyjechała?

— Nie wiem czy wuj znał hr. Spirydjona, jej drugiego męża?

— Tego, co go to nazywali hrabią Kręcickim? Jechał go sęk! Ktoby nie znał takiego błazna. Raz, czy dwa, widziałem go we Lwowie na wyścigach, wyglądał jak od siedmiu boleści! Chudy, żółty, nędzny, aż strach było spojrzeć na niego. Ale mimo to wiercił się, kręcił i wciąż paplał po francuzku. Że też twoja teściowa mogła na starość wyść za takiego gagatka. Jechał ją sęk z takim mężem! Chyba koniecznie chciała zostać hrabiną.

Być może... Nie znałem go, nawet jego fotografji nigdy nam nie przysłała. Lecz prawdopodobnie musiał być bogaty.

— Bogaty? Cha! Cha! Cha! a toś się wybrał

mój słodziutki kochasiu. Ten człowiek, już na dziesięć lat wpierw nim się z twoją teściową ożenił, nie miał złamanego szeląga przy duszy. Pieczeniarzył po dworach i pałacach, jeździł gdzie się z komina kurzyło, mówiono nawet że pobierał wsparcie od Towarzystwa dam dobroczynności Takie to u nas zwyczaje, mój słodziutki kochasiu! Uczciwym biedakom każą z głodu umierać, a zbankrutowanych arystokratów wspierają pieniądzmi, które nam gwałtem z gardła wydzierają. Jechał że ich sęk z taką dobroczynnością! Jeżeli twoja teściowa nie miała się na baczności, to musiał ten panicz babinę dobrze podskubać. Ktoś mi opowiadał, że na krótko przed śmiercią widział go w Monaco jak grał w ruletkę Musiała mu wyjść, na zdrowie, skoro zaraz umarł.

Siostrzeniec nic na to nie odpowiedział. Niedługo potem pociąg stanął w Lesznie. Ponieważ pan Miliński nie wiedząc kiedy do domu wróci, nie kazał po siebie wyjechać, przeto musiał teraz nająć konie. Podczas gdy on się z fiakrem układał wuj jego, któremu, jak sam mówił, w żołądku dobrze już z głodu hurkotało, wstąpił do restauracji i jadł, jadł, aż się spocił. Nareszcie gdy to się skończyło, odebrali pakunki, których stosunkowo szlachcic miał nie wiele, wsiedli do powozu i z miejsca ruszyli.

IV.

Przed samem miasteczkiem powiatowem, zkąd jak wiemy, już niedaleko było do Trzcińca, wuj odbiegając niespodziewanie od przedmiotu, o którym właśnie rozmawiał, zapytał siostrzeńca:

— A jak tam żyjecie razem z teściową:

— Dobrze.

— Dobrze? — powtórzył i z niedowierzaniem w oczy mu spojrzał.

— Czyżby wuj wątpił?

— Wątpić nie mam powodu, bo jej nie znam, a znam ciebie mój słodziutki kochasiu. Całkiem mój chłopcze, jesteś podobny do nieboszczki swojej matki... Słodka to była i łagodna osoba, w życiu swojem nikomu wody nie zamąciła. Więc doprawdy dobrze z sobą żyjecie? — drugi raz zapytał, w siostrzeńca bystro się wpatrując.

Ten nie mógł się nie uśmiechnąć.

— Wuj bada — rzekł — jakby lękał się, bym przed nim prawdy nie ukrył.

— Bo mi się to dziwnem wydaje. Ilu znam zięciów, żaden z nich nie może ścierpieć swojej teściowej. A wiesz czemu? Bo każda z nich chciałaby być w domu panią, większą niż jej córka, niż sam gospodarz. Już nie jednę taką widziałem i nie małom o nich słyszał. Jechał że sęk z takiemi zaściankami! Dla tego to mój słodziutki kochasiu, dobrzem zrobił, żem się nigdy nie żenił, bo chociaż jestem łagodnego temperamentu, prędzej zniósłbym u siebie stu teściów, niż jednę teściowę. Jakby mi taka baba zaczęła dokuczać, jak ciebie kocham mój słodziutki kochasiu, kupiłbym nabój dynamitu i w powietrze bym ją wysadził!

— Przyzwyczaiłby się wujaszek...

— Nigdy! Przenigdy! Ja wolę, żeby mnie kto lunął przez łeb szablą, niż aby mi szpilkami codzień podeszwy nakłówał. A one to umieją, umieją i potem jeszcze się chwalą, że postępują politycznie. A jechał że je sęk z taką polityką.

Fiaker zatrzymał się przed jednem z okazalszych domów w mieście powiatowem, do którego własnie wjechali. Na zegarze biła dwunasta w południe.

— Jeżeli wujaszek pozwoli — przemówił pan Miliński — to ja tu na chwilę wysiądę, bo mam pilny interes. Za kwandrans wrócę.

— Dobrze Henrysiu, dobrze.. Chociaż wiesz co, zamiast tu czekać, pojadę raczej gdzie co przetrącić, bo mi coś nieznośnie hurkoce po brzuchu; samo południe, droga zaostrza apetyt, a ja jak nie zjem w południe, tom potem cały dzień nie twój...

— W takim razie niech wujaszek podjedzie pod cukiernię, tam na rogu

— Jechał sęk wszystkie wasze cukiernie! Wczoraj, we Wrocławiu, wstąpiłem z nudów do jednej i kazałem sobie dać kieliszek wódki. Dałci mi doskonałej, jakby mą kto psu nos opłukał. Już mnie teraz żadna cukiernia nie zwabi Jabym raczej wolał wstąpić do jakiej restauracji, żeby przetrącić kawałek kiełbasy lub pieczeni.

— To w takim razie jedź do polskiego zajazdu! — zawołał pan Miliński na fiakra po niemiecku. — Ja tam zaraz będę wujaszkowi służył— dodał po polsku

Dorożka potoczyła się w głąb miasta, pan Miliński pobiegł po wschodach do Silbera. Na szczęście zastał go w domu

— Przyszedłem panu powiedzieć — rzekł do niego — że z baronem prawdopodobnie zrobię interes, chociaż nie tak prędko jak myslałem, bo właśnie przyjechał do mnie wuj aż z Galicji, prócz tego potrzebuję jeszcze na kilka dni skoczyć do Berlina w interesach familijnych.

— No, to dobrze — żyd odpowiedział. — Baronowi także nie spieszno

— Ja to wiem, ale ponieważ nie chciałbym, by przypuszczał, żem od zamiaru odstąpił, przeto umyślnie w tym interesie przyszedłem do pana. Mam nadzieję, że pan o tem barona uwiadomisz.

— Czemu nie... Przecie mnie to nic nie kosztuje. Dziś wieczór baron będzie u nas na posiedzeniu rady miejskiej, więc tam mu to powiem.

— A on z jakiego tytułu w waszej radzie zasiada?

— Z tego, że ma tu kamienicę.

— Skoro tak, to dobrze panie Silber. Polecam zatem tę sprawę pamięci pańskiej. Do widzenia.

— *Adieu* — odpowiedział żyd obojętnie.

Pan Miliński dobiegł do zajazdu, gdzie zastał wuja dojadającego na jednym talerzu kiełbasę, na drugim ziemnianki i kończącego całą butelkę węgrzyna. Wkrótce odjechali.

Silber, gdy za jego gościem drzwi się zamknęły, zrobił minę pogardliwą i rzekł do siebie:

— Chce jeszcze próbować szczęścia w Berlinie. Niech próbuje, zobaczymy czy wskóra. Im dłuższa choroba, tem pewniejsza śmierć. Potem będzie musiał przyjąć jeszcze twardsze warunki.

Przestał z sobą rozmawiać i nad czemś się zamyślił.

— A jakby on w Berlinie Jaśka zobaczył, toby mi powiedział, co ten gałgan tam teraz robi— zaczął powoli na nowo szeptać. — Nie, na co tego... Alboż to ja nie wiem, co on tam robi? Potrzebuje pieniędzy, a to najważniejsze. Zresztą jak koniecznie zechcę się dowiedzieć, to napiszę do jednego z naszych, bo nasz prawdę mi doniesie,

a taki szlachcic *von Habenichts*, wstydziłby się szukać syna chłopskiego No, no, wy dumni, nosy zadzieracie, chociaż mi mówicie: „kochany panie Silber“, w głębi duszy nienawidzicie mnie tak samo jak każdego innego żyda, ale zobaczymy jak wy tu jeszcze długo panować będziecie. Zjedliśmy was dosyć, zjemy was do reszty!... Tylko trzeba cicho, ostrożnie, żeby sobie interesu nie popsuć.

Silber lubił interesa cicho załatwiać. Od wyjazdu Jaśka Żołędziaka do Berlina, matka jego już dwa razy była u niego, a chociaż wychodziła zawsze zapłakana, nikt nie wiedział co tu robiła. Przypuścić atoli można, że Silber, jako stary i dobry przyjaciel, nie wypuszczał jej bez pocieszenia, raz bowiem jego służąca, po takiej tajemniczej bytności Marjanny u jej pana, widziała ją, jak na poczcie dwieście talarów synowi swemu do Berlina posyłała.

Wieczorem tegoż dnia, Silber zgodnie z tem, co powiedział panu Milińskiemu, miał widzieć się z baronem Maurycym Zarnecke. Zdawien dawna, jako kupiec, właściciel znaczniejszej posesji i obrotny finansista, należał i on do rady miejskiej.

Sala, w której zgromadzili się panowie rajcy, była dosyć obszerna, widna i wysoka Na małem podwyższeniu, naprzeciw drzwi wchodowych siedział burmistrz, obok niego sekretarz, na środku w czterech rzędach krzeseł, trzydziestu sześciu ojców miasta.

Silber wszedł prawie ostatni. Sala była już napełniona. Nikogo nie brakowało. Baron Maurycy siedział w drugim rzędzie na kraju Chociaż zajęcia, jak wiemy, miał nie mało, mimo to obowiązki radnego miasta tak sumiennie wypełniał, że już od kilku lat nie przypominano sobie, by kiedy opuścił jakie posiedzenie. Siedząc z mieszczanami, niczem się między nimi nie wyróżniał; ani ubiorem, ani miną, ani nawet ruchami, gdyż tak samo jak on, wyglądało jeszcze kilku innych, którzy niegdyś w wojsku służyli a teraz postawą i sposobem noszenia brody, chcieli zrobić się podobnymi do następcy tronu. Gdy baron wchodził, nikt nie spieszył go witać; gdy z kim rozmawiał, nikt się przed nim nie korzył; gdy odchodził, nikt go do drzwi nie odprowadzał Ludzie, co się tu zgromadzali, brali widać życie z najpoważniejszej jego strony, skoro im nie imponował ani majątek większy, niż ich własny, ani tytuł arystokratyczny.

Chociaż w mieście ludności polskiej było więcej niż niemieckiej, mimo to niemcy, jako bogatsi jako ci, w których ręku spoczywał cały wielki handel i przemysł, wybierali najwięcej radnych. Na 38, członków, mieli tedy zawsze 35, polacy zaś tylko 3, wliczając w to i Silbera, którego oni za swego poczytywali. O ile można było wnosić, niemcy bynajmniej im nie zazdrościli i nieraz, gdy polacy mówili o swoich trzech głosach, oni uśmiechali się ironicznie, wysyłając tam, gdzie Silber siedział, dwuznaczne spojrzenia.

Po zagajeniu posiedzenia przez przewodniczącego i odczytaniu protokołu z ostatniej sesji, powstał jeden z radnych, uchodzący w mieście za wzór patrjoty pruskiego, i w te słowa przemówił:

Wnoszę, aby rada powzięła uchwałę tej osnowy; „Napisy polskie na rogach ulic znosi się. Odtąd napisy mają być niemieckie i dotego sporządzone literami gotyckiemi, a nie łacińskiemi. Miasto nasze jest niemieckie — mowca dalej mówił — rząd nasz jest niemiecki, państwo całe jest niemieckie, więc nie pojmuję, czemu mamy tolerować jakieś tam narzecze, którego nikt nie rozumie. Wiecie panowie, że sklep mój stoi przy ulicy Dorzecznej, nazwy ja sam, mimo iż mieszkam tu od lat dwudziestu kilku, dotąd nie nauczyłem się wymawiać. Otóż nie ma dnia prawie, żeby do mnie nie przychodził kto obcy i nie zapytywał, gdzie leży ta lub owa ulica. Największe zaś trudności z odczytywaniem napisów polskich mają wojskowi, ilekroć przez nasze miasto maszerują. I godziż się panowie, byśmy u siebie przykrości tym sprawiali, którzy lat temu niewiele złamali pierwszą monarchię świata i naszą wznieśli na szczyt ziemskiej potęgi? A więc głównie przez wzgląd na naszych bohaterów i dla dobra wielkiej naszej ojczyzny, apeluję teraz do patrjotycznych uczuć wysokiej rady i proszę ją, by wniosek mój raczyła przyjąć jednogłośnie.

Gdy skończył, zewsząd posypały się huczne oklaski, a baron postawszy, zbliżył się nawet do mowcy i rękę mu uścisnął Polacy w ich gronie i Silber, siedzieli chmurni. Gdy wkrótce potem, przewodniczący, stosownie do przepisów regulaminu, zapytał, czy w tym przedmiocie, chce kto jeszcze głos zabrać, jeden z nich powstał i zaczął mówić.

Był to najzdolniejszy lekarz miejscowy, osobistość przez polaków kochana i ceniona, przez niemców szanowana. Mowa jego nie była długą za to zwięzła i bardzo logiczna. Zwróciwszy uwagę najpierw na to, że rada miejska nie może powziąść takiej uchwały, gdyż to się sprzeciwia jej kompetencji, powiedział następnie, że takie pogwałcenie przyrodzonych praw miejscowej ludności, byłoby najoczywistszym dowodem, że niemcy idą wszędzie za hasłem „siła przed prawem“ — zakończył zaś serdecznem przemówieniem do „narodu myślicieli“ by miasto słabszych uciskać i krzywdzić, podać raczej im rękę, i wspólnie z nimi starać się dla powszechnego dobra pracować.

Jak długo mówił o prawnej i narodowej stronie tej kwestji, tak długo jego koledzy, a między nimi także sam burmistrz, niemiec tłusty, czerwony, ze złotemi okularami na nosie i długą, ryżą brodą, słuchali go z wielkiem zajęciem. Zato gdy przeszedł na pole uczuciowe, zaczęli ruszać się, chrząkać, kaszleć, w końcu nawet nogami suwać. Prócz tego szeptali coś do siebie, uśmiechając się złośliwie.

Gdy mowca skończył, sam wnioskodawca podniósł się i rzekł prędko:

— W imieniu wszystkich tu zgromadzonych, śmiem zaprotestować przeciw twierdzeniu poprzedniego mowcy, jakby to, co uczynić zamierzamy, miało być uświęceniem teorji: siła przed prawem. Gdybyśmy w rzeczy samej kierowali się tą zasadą, a nie bezstronnością i sumiennością, to w takim razie, szanowny nasz pan burmistrz, przy asystencji straży miejskiej i żandarmów, których pan landrat pewnie by mu nie odmówił, kazałby był już dawno pozdzierać polskie napisy i takowe niemieckiemi zastąpić. Wtedy polacy mogliby słusznie twierdzić, że trzymamy się siły, nie prawa. Ale skoro tego nie uczynimy, skoro w ważnej tej sprawie chcemy powziąść legalną i dobrowolną uchwałę, to czyż można nam jakikolwiek gwałt zarzucić?

— Większość panów nie jest legalna, gdyż nie niemiecka lecz polska ludność jest tu w większości! — jeden polak zawołał:

*

— Wy nas majoryzujecie, więc każda wasza uchwała jest gwałtem! — drugi dodał.

— Powoli panowie, na co się irytować — przemówił Silber z miejsca powstając. — My tu się niepotrzebnie kłócimy, bo sprawa ta i bez tego nie będzie przez nas załatwioną. Całkiem słusznie powiedział pan doktor, że my jej nie możemy uchwalić, bo nie mamy do tego kompetencji.

To powiedziawszy, Silber tak spojrzał na obydwu polaków, jakby od nich spodziewał się uznania i nagrody za dzielną obronę ich interesów.

Zaledwie skończył, podniósł się znowu wnioskodawca, i głosem dobitnym w te słowa przemówił:

— Według naszego ustawodawstwa, wszelkie ogłoszenia urzędowe, mają być u nas robione w języku niemieckim. Ponieważ napisy na rogach ulic nie są niczem innem, tylko urządowemi ogłoszeniami, przeto powinne być niemieckie. Tego żąda ustawa.

— Protestujemy przeciw takiemu tłumaczeniu ustawy! — zawołali obadwa polacy.

Niemcy ani słowa na to nie odpowiedzieli. Spokojnie i pewni siebie, jak silni, gdy ze słabszymi walczą, czekali na koniec rozprawy. Przewodniczący zarządził głosowanie, poczem rzekł poważnie:

— *Angenommem* (przyjęto).

Prócz obydwu polaków wszyscy zresztą niemcy głosowali za wnioskiem. Silber na minutę przed głosowaniem wybiegł z sali, bo go ktoś w bardzo pilnym interesie do domu wezwał. Gdy wrócił, wszystko już było skończone.

Nazajutrz polacy wnieśli protest do wyższej władzy, wszelako niebawem otrzymali odpowiedź, że uchwała rady miejskiej jest sprawiedliwą i jak najprędzej powinna być w życie wprowadzona.

Po załatwieniu sporu o napisy, sam burmistrz postawił wniosek, aby folwark Królewska górka, należący do miasta, przezwać Königshügel i prosić ministra o zatwierdzenie tej nazwy.

Znowu dosyć długo rozprawiano, znowu polacy walczyli i protestowali, w końcu tak samo jak przy pierwszej sprawie musieli ustąpić przed przemocą. Uchwalono.

Z kolei powstał br. Maurycy Zarnecke i tak przemówił:

— Wiadomo panom, że moja majętność nazywała się niegdyś Komarowa, a dobra hr. Wągrowieckiego Ujście leśne. Wysokie ministerjum przez wzgląd na potrzeby ludności miejscowej, pozwoliło Komarowo nazwać Genselberg, Ujście zaś leśne, Waldusch. Już dość dawno jak to się stało, a dotąd nikt się na tę zmianę nie skarży, bo wszystkim z nią dobrze. Obok mnie jest wieś Trzciniec, której nazwiska, dla jego barbarzyńskiej twardości, żaden niemiec nie jest wstanie wymówić, a tem mniej napisać. Nie raz zdarzyło mi się widzieć listy, przeznaczone do Trzcińca, ale tak adresowane, że po całej rejencji krążyły, bo nie mogły znaleźć źle wypisanej miejscowości. Ludność niemiecka tej wioski, przysłała do mnie wczoraj dwóch włościan z oznamieniem, że temi dniami wniesie do wysokiego rządu prośbę, by Trzciniec został jak najprędzej na Schildorf przezwany. Chłopi prosili mnie, przy tej sposobności, żeby moja gmina ich podanie poparła, co tem śmielej może uczynić, iż Genselberg jest z Trzcińcem w bezustannej styczności. Ponieważ sprawa ta obchodzi nietylko najbliższych sąsiadów, lecz także całą okolicę, a w niej głównie to miasto, przeto proszę, iżby wysoka rada raczyła także ze swojej strony poprzeć petycję mieszkańców Trzcińca, honor bowiem naszej wielkiej ojczyzny żąda od nas, byśmy nazwiskami prawdziwie cywilizacyjnemi, zacierali ostatnie ślady barbarzyństwa.

Wystąpienie barona wywołało zapał po stronie niemców, oburzenie po stronie polaków. Lekarz, chociaż na co dzień był spokojny, nie mogąc dłużej nad sobą panować, zerwał się jak oparzony i zawołał:

— Pan baron chcąc dopuścić się na nas nowego gwałtu, nie wspomniał jednak o tym szczególe arcyważnym, że w Trzcińcu jest siemdziesięciu sześciu gospodarzy polaków, a tylko trzech niemców. Znam tę wieś doskonale. Jakiemż więc prawem owi trzej mogą całej gminie swoją wolę narzucać?

— Czy mają do tego prawo, to wyższa władza orzecze — baron spokojnie odpowiedział.

— Gdybyśmy petycję owych trzech popierali — lekarz wołał — postąpilibyśmy sobie w sposób wielce niehonorowy.

— Kto tę rzecz za niehonorową poczytuje — baron odrzucił — ten może uchylić się od głosowania.

— Ja protestuję przeciw takiemu gwałceniu naszych uczuć! To zbrodnia!

— Odbieram panu głos! — przemówił przewodniczący i zaczął dzwonić.

W sali zaraz się uciszyło.

Wniosek barona nie przyszedł natychmiast pod uchwałę. Przedtem jeszcze długo i szeroko nad nim rozprawiano. Mowcy jednak, z wyjątkiem polaków, dotykali ciągle nie tyle jego treści co formy. Oni uważali go za całkiem słuszny i potrzebny, tylko nie wiedzieli czy radzie miejskiej wypada mięszać się do tej rzeczy. Polacy wytoczyli najcięższe działa na wały i argumentowali jak umieli najlepiej, wszelako ich słowa skutku nie odniosły. Ktoby tam słuchał pisku małego robaka gdy go rozgniata szeroka stopa człowieka śmiało naprzód kroczącego. Jego własna wina, że od nieszczęścia nie umiał uchronić się i ocalić...

Po całogodzinnej debacie, wniosek barona został przyjęty. Tym razem już trzy głowy były przeciw niemu, bo i Silber stanął raz z polakami w jednym szeregu.

Gdy po skończonem posiedzeniu, Silber barona na bok odprowadziwszy, szeptał mu coś do ucha o panu Milińskim, lekarz, wychodząc z drugim polakiem z sali, mówił doń z oburzeniem:

— Największa niesprawiedliwość, największy gwałt, wszystko u nich jest prawne i dobre! Na tej samej zasadzie mogliby nam kazać jutro głowy poucinać.

— Mnie się zdaje, panie konsyljarzu — rzekł na to jego towarzysz — że my najgorzej robimy, iż się z nimi ujadamy. Wszak nie od dziś widzimy, że najgorętsze nasze słowa idą na wiatr. My swoje, a oni swoje. Ręczę że o każdym wniosku przeciw nam wymierzonym z góry już wiedzą, czy będzie przyjęty, i tylko pro forma nad nim debatują. Dla tego jabym sądził, że najlepiejby było, gdybyśmy wszystkiemu dali pokój.

— Jak pan rozumiesz? doktor zapytał.

— Szkoda naszego drogiego czasu, panie konsyljarzu. Zamiast go więc marnować, lepiej wystąpmy z rady i róbmy w domu co pożyteczniejszego.

Lekarz zamyślił się głęboko.

— Ja tego zdania nie podzielam — rzekł po dłuższej przerwie. — W położeniu, jak nasze, polityka przypatrywania się biernego, byłaby najgorszą bronią. My musimy mówić, protestować i bronić się, choćby li dla tego, że z jednej strony będziemy im ciągle przypominali, iż żyjemy z drugiej zaś strony głos nasz będzie innych budził i do oporu zachęcał. My musimy walczyć, jak oblężeni w twierdzy i czekać, póki nam kto na odsiecz nie pospieszy.

Towarzysz westchnął, ale nic na to nie odpowiedział. Tak rozmawiając, udali się do tego samego hotelu na kolację, gdzie w południe pan Bielski z takim apetytem trzecie z rzędu śniadanie zajadał.

V.

Ks. Błażej Czyżyk stał przy oknie w swojem mieszkaniu i karmił ptaki. Każdego dnia po mszy św. którą rano odprawiał, było to najmilsze jego zajęcie. Za oknem, które na ogród wychodziło, kazał kościelnemu do muru przybić dość dużą deszczułkę i na nią tak zimą, jak latem, sypał co miał: pszenicę, owies, siemię, okruchy z bułek i chleba.

Z jakąż ciekawością zbliżał się zawsze do okna i najpierw przez szyby na drzewa zaglądał. Czy jest już moja dziatwa? wzrokiem się pytał. Czasem na gałęziach, jeżeli przyszedł wcześniej niż zwykle, nie widział jeszcze żadnego ptaszka; za to ilekroć spóźnił się, mógł być pewny że będzie miał prawie tylu głodnych, ilu ongi Chrystus obdzielił pięciorgiem chleba. Pierzaści mieszkańcy pól, ogrodów i lasów, zlatywali się zewsząd pod probostwo i trzepocąc różnobarwnemi skrzydłami, przeskakiwali z gałązki na gałązkę, zaglądali ciekawie do pokoju, przekrzywiając główki, na których oczki świeciły jak brylanciki. w końcu ten i ów, zniecierpliwiony długiem oczekiwaniem, podnosił dzióbek do góry i śpiewać zaczynał. Przylatywały tam codzień strojne szczygły, skromniejsi od nich imiennicy proboszcza, czyżyki, fertyczne sikorki, nadęte gile i wiele, wiele innych, których nazwiska znał sam tylko ks. Błażej. Wesoła ta dziatwa siadywała na rozłożystej jabłoni pod oknem czekając, na rękę dobroczynną, która na deszczułkę codzień pożywienie sypała.

Tuż nad oknem, na ostrym kancie rynny, szare wróble, zajmowały zawsze stanowisko obserwacyjne i ledwie ksiądz ziarno posypał, pierwsze się rzucały, by wybrać najlepsze przysmaki. Proboszcz nie miał nic przeciw temu, gdyż i o nich mawiał, że są stworzeniami boskiemi, które żyć potrzebują; wszelako ilekroć wróble zamiast prędko głód zaspokoić, coraz większy apetyt okazywały, lub jeźli nawet ze słabszemi od nich ptaszkami do walki stawały, wtedy ukazywała się ręka która je płoszyła, przyczem dawały się słyszeć słowa:

Dosyć żarłoki, dosyć! Przecie i drugim trzeba coś zostawić. Wynoście mi się z tąd nicponie!

Wielkie zaufanie musiały mieć ptaki do ks. Błażeja, skoro pewnego dnia przyleciała za niemi gdzieś z lasów, także sroka krzykliwa. Rzadki to był ptak w tych stronach, gdyż z dawien dawna został on jako drapieżnik w całej Wielkopolsce z pod prawa wyjęty, skutkiem czego powszechnie go tępiono. Ledwie w lasach, lub na polach, zdala od mieszkań ludzkich, można było z nim się spotkać. Gdy tedy pierwszy raz sroka przez wieś do probostwa leciała, niejeden chłopak wiejski śledził ją okiem pożądliwem, Jędruś zaś i Michałek, dzieci starego Żołędziaka, chcieli nawet pójść do ogrodnika dworskiego, który miał strzelbę, by ten przyszedł zabić drapieżnika, łowiącego najchętniej małe kaczki i kurczęta. Gdy jednak zobaczyli, że poleciała do ogrodu ich kochanego proboszcza, dali temu pokój, wiedzieli bowiem, jaką by to księdzu przykrość sprawiło, gdyby któremukolwiek z jego miłych gości co złego stało.

Ssoczka tymczasem, usiadłszy na szczycie gruszki najwyższej, a rosnącej do tego w przyzwoitem od domu oddaleniu, kręciła się, wachlowała ogonem, skrzeczała, zaglądała, ale chociaż widok kilkudziesięciu ptaków jedzących wesoło pod oknem, był dla niej przykładem wielce zachęcającym, mimo to, dnia tego wcale się nie zbliżała, tylko rozpatrzywszy się w położeniu z krzykiem do lasu wróciła. Nazajutrz przyprowadziła z sobą drugą towarzyszkę. Odtąd wracały co dzień regularnie i każdego dnia następnego, bliżej domu siadywały. Po tygodniu, gdy proboszcz położył dwa kawałki mięsa na deszczułkę, rzuciły się na nie, porwały i lot swój zwalniając, zniknęły w kierunku Ujścia leśnego. Próba ta była jednak pierwszą i ostatnią. Przekonawszy się, że im się nic złego nie stało, siadywały odtąd z całem zaufaniem pod oknem, czekając na śniadanie.

Ks Błażej we framudze okna stojąc, przypatrywał się swoim dzieciom z uśmiechem. Dziś więcej niż zwykle ziarna im posypał i srokom sporze niż co dzień rzucił mięsa kawałki Sroczki odleciały, ptaszki zaś jadły w milczeniu, obracając się szybko to w prawo, to w lewo i tylko uderzanie dzióbków o twardą deskę świadczyło o ich obecności

Ksiądz wpatrując się w tę drużynę wesołą, rozrywał tem myśli, które mu się teraz nasuwały. Nazajutrz po wyjeździe pana Milińskiego do Poznania, otrzymał był wezwanie od swego dziekana, żeby się do niego niezwłocznie stawił. Pojechał tam jeszcze tego samego dnia. Dziekan powiedział mu, że chociaż w jego parafjach dotąd spokój panuje, wszelako muszą przygotować się na najgorsze, bo prawdopodobnie i tu rozpocznie się wkrótce prześladowanie duchowieństwa, nie uznającego ustaw majowych. Dziekan sądził, że początek da niewątpliwie parafja Romanowo, gdzie proboszcz miejscowy, wskutek niebezpiecznego porażenia, nie mógł już żadnych pełnić obowiązków.

— Do Romanowa — kończył dziekan — władza nasza duchowna, przyszle temi dniami ks. misjonarza, ale ponieważ w tak dużej parafji, on sam, głównie dla tego, że będzie się musiał ukrywać nie podoła wszystkim obowiązkom, przeto wy, księże proboszczu, jako sąsiad najbliższy, będziecie go wspierali.

— O ile tylko siły starczą, księże dziekanie — ks. Błażej odpowiedział.

— Musicie być jednak przygotowani na prześladowanie.. Wiadomo wam, księże proboszczu, że bez zezwolenia władzy świeckiej, nie wolno dziś żadnemu kapłanowi w obcej parafji, ani mszy św. odprawiać, ani kazać, ani spowiadać, ani chrzcić, ani nawet umierającego olejem św. nacierać. Jeźli was więc złapią na której z tych czynności, pójdziecie ojcze do więzienia

— Pójdę! — ks. Błażej spokojnie odpowiedział.

Dziekan uznał teraz za konieczne wytłumaczyć proboszczowi instytucję ks. misjonarzy, którą w Wielkopolsce konieczność do życia powołała.

Ponieważ na podstawie ustaw majowych, ostateczna decyzja przy obsadzaniu osieroconych parafji, nie należała więcej do biskupa, jak dawniej, lecz do rządu, który ze względów politycznych, nie byłby nigdy oddał probostwa księdzu znanemu z nienależności charakteru i uczuć patrjotycznych, przeto biskupi i prymas powiedzieli, że na tych księży, którzy od rządu samego przyjmą parafje będzie rzucona ekskomunika, jako na księży nielegalnych, tam zaś, gdzie to nie nastąpi, a gdzie księdza zabraknie, funkcje kościelne będą sprawowali ks misjonarze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DALEJ I DALEJ!...

Dalej i dalej!.. i tak bez końca
Błądzisz o myśli, pielgrzymko biedna!
Z gwiazd po nad gwiazdy, i z słońc na słońca
To twoja droga wieczna. powszedna;
Przez skały lądu, głębiny fali
Ściga cię wyrok: Dalej i... dalej!

Ku słońcu prawdy, co błyszczy zdala,
Strudzonych skrzydeł wytężasz loty
Trawiona wieczną męką Tantala,
Gnana pragnieniem świętej tęsknoty;
Po tysiąc razy w mroku zbłąkana,
Po tysiąc razy walką złamana!

Wznosisz się znowu i znowu lecisz,
Liczysz mórz krople i ziarna piasku,
W zgasłych wulkanach iskry rozniecisz,
W gwiazd się umarłych rozczytasz blasku,
W otchłań się rzucisz, wzniesiesz do szczytu,
Aby rozwikłać — „Zagadkę bytu!..“

Niegdyś w promiennym ranku stworzenia
Tyś ją widziała źrenicą czystą,
Przed tobą pałał cud objawienia
Niebieskich świateł łuną ognistą;
I jako odbłysk ducha Bożego,
Patrzyłaś w światy poczęte z Niego!

Ale gdy winy zgniotło cię brzemię,
Na wzrok proroczy padła zasłona
I na wygnania strącona ziemię
Drogi do niebios szukasz stęskniona.
A ziemia dla cię — otchłanią ciemnic;
A życie na niej — księgą tajemnic...

Odczytać musisz znaki tej księgi,
Z trudem dobywać perły z otchłani,
Aż znowu w blasku dawnej potęgi
Zabłyśniesz kiedyś — jak świata pani!
Aż znów cię niebios oświecą zorze,
I znowu poznasz, żeś — tchnienie Boże!

Ale tymczasem, pielgrzymko smutna —
Przez mroki zwątpień, przez burz zamiecie,
Dokąd nie spadnie szata pokutna,
Jak Ahaswerus błądzisz po świecie;
Przez skały lądu, głębiny fali
Bez odpoczynku... Dalej i dalej!.

M. B.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego.“

(Ciąg dalszy.)

W kilka miesięcy później odbył się ślub Henryka Szczerby z jasnowłosą, piękną baronówną Emą.

Rodzice po krótkim wahaniu skłonili się do wyboru córki, tem łatwiej. że cyfra posagowa panny nie zbyt była wysoka, młody zaś uczony adwokat rokował świetną przyszłość a nawet dziś, pozycją miał wyrobioną, pewną i uchodził za bogatego. Zdolności takie przy takim sprycie i niezwykłym rozsądku w tak młodym wieku mogły zaiste doprowadzić daleko.

Ślub odbył się nader uroczyście. Kościół rozjaśniono światłem wszystkich żyrandoli i świec, zapełniono go kwiatami, kobiercem wysłano kamienną posadzkę — kobierce miękkie i kwieciste rzucono aż na ulicę, aby dostojna panna młoda, nóżką nie dotknęła ulicznego pyłu; do kościoła wpuszczano tylko za biletami aby się motłoch nie cisnął. Licznie zgromadzona publiczność dystyngowana mogła napaść oczy widokiem świetnego orszaku: znakomitych, udekorowanych mężczyzn i pań strojnych i pięknych.. Atłas. koronki, brylanty, perły, wszystkie przepychy najdelikatniejszych barw w najdoskonalszej harmonii przesuwały się przed oczyma zebranych... było to jakby wspaniałe tło dla młodej pary, ciepłe, lśniące. jak miało być jej życie! Panna młoda uśmiechnięta, lekko różowa, ślicznie wyglądała w paryskiej sukni z białej, modnej „surah“ z gałązką pomarańczowego kwiatu i za obłokiem iluzji. Henryk Szczerba spokojny, blady i poważny, prowadzony przez dwie druchny wzbudzał powszechną admirację kobiet; tak dla piękności, jak i powagi.

Chór śpiewaków odśpiewał umyślnie na ten cel skomponowaną kantatę, — wszystko było piękne, wytworne, wspaniałe.

Publiczność, jak zwykle przypatrywała się wszystkiemu i bawiła się doskonale, jakby na komedji w teatrze, bez względu na powagę kościoła. Damy przyglądały się. przykładając do oczu małe lornetki, mężczyźni rozmawiali głośno, żałując może, że nie wypada zapalić cygara.,. w ogóle bawiono się bardzo dobrze.

W czasie ślubów nie wiadomo zaiste dlaczego kościół zamieniają ludzie w rodzaj salonu i mało kto zważa natenczas na świętość i powagę przybytku. — Posągi ożyły przy wieczornem świetle... złoto ołtarzów sypało iskry — delikatne rzeźby gotyckie pozostałe z dawna tu i ówdzie, wyglądały jak zawieszone u góry koronki brabanckie, z pomiędzy których wysuwała się czasem złocona główka aniołka... a niżej poważna w ciemnym szwedzkim marmurze ryta twarz w hetmańskim kołpaku, popiersie w delii, lub głowa w kapturze zakonnym patrzyły surowo i z wysoka na ludzi... barokowe figury świętych uśmie-

chały się, a pląsające ich pozy nastrajały się do ogólnej harmonii.

Ksiądz przy ołtarzu czytał rytuał ślubny po łacinie, publiczność tymczasem zabawiała się rozmową.

W gruncie rzeczy, ten Szczerba szalone ma szczęście! Zabiera nam pannę z przed nosa — rzekł Henio — a wiecie przecież, że nie jest wcale urodzony — syn chama — lokaja czy ekonoma!

— Ktoś wspomniał Helenkę. — Była jego narzeczoną, wszak prawda? Cóż się z nią stało?

— Nieszczęście, odpowiedział ktoś drugi — rozwinęła się u niej nieuleczalna choroba, suchoty, czy jakaś gorączka nieokreślona! Jedna z tych chorób, wobec których wszelkie środki lekarskie są bezsilne — umarła.

O! Boże! tak młoda, taki talent nadzwyczajny; królowa angielska darowała jej naszyjnik z przepysznych kamei, nadała jej tytuł nadwornej pianistki — rzekła młoda kobieta, zbliżając się do rozmawiających.

Powiadają, że się tak biedaczka zapamiętale kochała w panu Szczerbie; była jego narzeczoną podobno — a gdy ją porzucił, głupia dziewczyna umarła — C'est pas chic! Przecież jest nas dosyć młodych i przystojnych, kiedy chciała się kochać! Ja sam!... śliczna była kobietka — dodał Henio, zwracając się do mężczyzn.

Umarła z miłości! oh! biedna! biedna! — westchnęły kobiety — otaczając Henia, który zaczynał się stawać interesującym.

Powiedz nam pan, jak to było?

Powiadają nawet — szeptał zadowolony z siebie Henio — że umierając chciała koniecznie widzieć Szczerbę; ale zajęty nową boginią swego serca nie miał czasu!... no i przybył za późno!.. Trafił na pogrzeb... w jakiejś mieścinie brudnej... żydowskiej... w ponury dzień późnej jesieni. Brr! nie mam zwyczaju uczestniczyć podobnym obrzędom — nie będę, aż chyba na moim pogrzebie.

— Tego zdrajcę kazałabym żywcem spalić! — rzekła jedna z dam.

— Dlaczego jego? — odparła inna — ja kazałabym spalić kobietę, która z miłości dla mężczyzn zrobiła sobie bożka!.. i nawet, gdy ją deptał biła mu pokłony. Robić z miłości jedyny cel życia — nie wolno! Najzjadliwsza trucizna użyta w mikroskopijnych ilościach, jest nieszkodliwa... zbawia czasem! W wielkiej dozie, zabija! Miłość to trucizna! — Kobiety spojrzały na mówiącą; siwe jej włosy przy świeżej i młodej twarzy, uderzały wzrok niezwyczajnością, a przy szyderczych słowach, usta jej drżały boleśnie.

— To bluźnierstwo! — zawołała jedna z młodych kobiet, wzruszając ramionami. — Ja bez miłości nie chciałabym nieba!

— Otóż pani bluźnisz! Kochać całem jestestwem należy... tylko Boga! — brzmiała odpowiedź.

— Cicho! cicho! idą już! Patrzcie, jaki on blady! Jaka ona piękna w ślubnym stroju! szeptano w tłumie.

Szczęśliwi ludzie! Przy muzyce Mendelsonowskiego marsza orszak świetny, oblany rzeką światła posuwał się zwolna, środkiem nawy; publiczność się rozchodziła, wyliczając imiona dostojników i tytuły, biorących udział w obrzędzie ślubnym Szczerby. . . . .

. . . .

— Najszczęśliwszy to dzień w mojem życiu! — powiedział Henryk do młodej swej żony, gdy zostali sami.

Dzień ten był nietylko szczęśliwy, był także bogaty w czyny.

Henryk Szczerba na pamiątkę tego dnia szczęścia i spełnionych nadziei, czy z innych jakich pobudek, wyznaczył stypendjum w kwocie tysiąc reńskich rocznie dla jednego ze studentów kończących uniwersytet i to na przeciąg lat trzech w tejże samej sumie co roku. Podpisał akt przyznający na własność śliczny dworek z gołębnikiem, ogrodem warzywnym i kwiatowym, matce swej ukochanej wdowie po ś. p. Mikołaju Atanazym Szczerbie. Równocześnie najwyższą wolą synowską matka została skazana na zamieszkanie tego dworku od dnia podpisania aktu, a tem samem na oddalenie z przed oblicza ubóstwianego syna. Stało się tem zadość woli młodej pani Szczerbowej, którą staruszka raziła niemile, jako przypomnienie niskiego pochodzenia męża.

Biedna stara zebrała swe popielate suknie, kapelusze, mantylki, doniczki z geranjum, bluszczem i fuksją i ocierając łzy pokryjomu, przeniosła się do dworku, natychmiast po uczcie weselnej, ustępując miejsca swego młodej pani, która przed wyjazdem w podróż poślubną, miała jeszcze zabawić parę godzin w domu męża.

Wreszcie tegoż wieczora wysłał do druku świeżo ukończone dzieło, traktujące o mnożeniu się proletarjatu klas wykształconych. Piękne to dzieło, pełne erudycji i uczoności pod pozorem społecznych reform i uczciwych dążeń, poniosło w świat wsteczną propagandę ciemnoty mas i polityczne zasady partji, broniącej świętych praw uprzywilejowanych wybrańców. Nic zręczniejszego nad iście macchiawelowskie pióro, jakiem to dzieło napisane zostało. Obok trzeźwych w istocie poglądów i rad zdrowych, artykuły polityczne pełne werwy i doktryny partji, z którą się sprzągł dla interesu — bałamutne przedstawianie stosunków społecznych, ale z takim pozorem prawdy, z tak wyrażonemi ściśle datami statystycznemi nawet!.. z tak silną a spokojną argumentacją, że nie podobna się oprzeć jej mocy. Zdarzało się tam wprawdzie, że daty i cyfry nader niedokładnie zgadzały się z istotnemi obliczeniami statystyki, a fakta tu i owdzie zręcznie naciągnięto do potrzebnej miary — zanim jednak jaki szperacz i krytyk surowy wytknie te i owe zboczenia, silne frazesy w pięknej formie rozlecą się po świecie i zrobią swoje, w szerokim tłumie społecznym, tem skuteczniej będą działały, tem szerzej się rozejdą, że wypuszczono je w obieg pod pozorem rozwiązywania kwestji palącej i żywotnej, która każdego interesować musi... która zajmuje ogół najszerszy.

Henryk z uśmiechem odebrał manuskrypt z rąk sekretarza, sam położył pieczęcie i adres nakreślił pięknem, ogrągłem pismem. Przed zwierciadłem poprawił krawat i spojrzał na zegarek; zostawała jeszcze przeszło godzina czasu do odejścia pociągu. Z odległych pokoi dolatywała piosenka Emy, ubierającej się do podróży — słychać było stuk zamykanych kufrów i bieganie służby.

Usiadł w fotelu z cygarem w zębach i mimowoli cofnął się myślą wstecz, w przeszłość. Przypomniał sobie koleje życia... i zmiany jakie przebył. Najwyraźniej stanął mu w pamięci ów czas, kiedy ręka w rękę przebiegali ulice miasta z Michałem Liczką, który mu się spowiadał z swych planów, projektów, nadziei, marzeń! Był nawet moment, tak pamiętał to doskonale, że myśli ich i serca biły zgodnie; dawał się unosić zapałom Liczki i sam snuł

plany szalone, jak zamki na łodzie... była raz nawet godzina... raz jeden tylko, że przysięgał życie swe poświęcić idei wielkiej, wyrzekając się nawet szczęścia własnego! Marzyli obydwaj jak dzieciuchy! Henryk uśmiechał się wobec tych wspomień, tych marzeń młodzieńczych i sentymentów, które rozwiać się musiały wobec praw życia, wobec niezbitych praw natury, których najgłębszym wyrazem jest: instynkt samozachowawczy. Kto nie dba o siebie i nie umie sobie wygodnej egzystencji zdobyć, gubi tem samem sprawę, której służy! Zginie z biedy a z nim i wielkie jego ideje! — Szczęśliwy jestem — myślał, puszczając gęsty obłok dymu wonnego cygara, stanąłem na silnym i pewnym gruncie i pójdę dalej zwycięzko. Ludzie przyklasną mi, cokolwiek uczynię. O, bo ludzie wieńczą zawsze tryumfatorów. Jak ja w przyszłości żyć będę. Jakimi czynami drogę mego życia zasypię. Nie folgując głupim podszeptom słabości krwi i nerwów, którą chwiejni marzyciele nazywają: sercem, aby swą niemoc usprawiedliwić.. zwyciężyłem

VII.

Ruch wyborczy panował w mieście, gorączkowy niespokojny, napełniał wszystkie umysły, wszystkie kąty ulic i zaułków, zda się przenikał atmosferę i przebiegał jak prąd elektryczny, wstrząsając nawet tych, którzy zwykle nie mieszali się do spraw publicznych i najobojętniej patrzyli na najgwałtowniejsze przewroty społeczne i zmiany losów polityki bieżącej.

Ale ruch wyborczy to co innego. tym razem poruszone są różne drobne interesa różne sympatyjki i zawiści i zarówno szczery patrjotyzm jak drobiazgowość i głupota biorą w nim gorący udział. Z ust do ust przelatywały imiona kandydatów; w ulicach zbierały się gromadki ludzi wiodące zacięte spory. Piękne kobiety nie zapominając o strojach i modzie zajmowały się jednak z niezwykłym zapałem. losem wyborów.. Kataryniarz wygrywający walca Straussowskiego przerwał go w połowie, usłyszawszy w ustach stróża imię jednego z kandydatów, któremu był przeciwnym i przyłączył się do podwórzowej rady wyborczej. Przekupki przy straganach z krupami i warzywem podawały sobie z ust do ust imiona najpopularniejszych, wszystko co żyło zdawało się oddechać tylko wyborami.

Był to dzień ostatni; na rogach ulic porozlepiano ogromne afisze: czerwone, niebieskie, żółte, pomarańczowe, białe, na których sążnistemi literami wydrukowano imiona i nazwiska kandydatów, a zdarte tu i ówdzie ręką niechętnych chwiały się i kołysały w powietrzu jak różnobarwne chorągwie. Przed ratuszem zebrały się tłumy, zaległy podwórze i cisnęły się aż na schody, a chociaż w sali radnej odbywało się już skrutynium posługacze publiczni zajęci gorliwie sprawą, biegali wzdłuż ulic i placów i olbrzymimi afiszami zalepiali odezwy partji przeciwnych.

Dwie główne partje: konserwatywnych i radykalnych rozszczepiły się jak zwykle to bywa na mnóstwo drobnych partyjek, stronnictw, obozów a każde uzbrojone w ostre strzały dla przeciwników i szumne programy, które wystarczałyby na zapewnienie dobrobytu nie jednego kraju, ale ziemi całej gdyby mogły być czem innem, jak tylko frazesami!

Agitacje zwolna już ustawały jako wiatr na Saharze gdy się już wyhuczy, wyśwista i góry piasku z jednego miejsca przesypie na drugie miejsce... Wypowiedziano już wiele mów i mówek, wypito już wiele różnych szlachetnych i mniej szlachetnych trunków, wzywając na pomoc „ducha“ a że „spiritus flat ubi vult“, więc też rozdano wiele monety brzęczącej i niebrzęczącej w ręce prostaczków, nie gardząc i tym środkiem powszechnie zresztą używanym dla dobra sprawy publicznej.

Teraz wszystko już umilkło, ucichło, natężenie zaś ciekawości, oczekiwań wzmagało się, rosło. Równie jak zgromadzony tłum ludzi, oblęgający gmach ratusza, tak i słońce ciekawe zawsze spraw ludzkich, czerwonymi promieniami zaglądało w okna sali radnej, rzucało na nie tęczowe blaski... i skakało złotemi pręgami po łysinach, czuprynach i twarzach wyborców, może sondując zawartość ich czaszek, myśli i uczucia, może porównywało ich do zgromadzień na forum rzymskiego plebsu i patrycjatu? Stare słońce przypominało pewnie stare dzieje i czasy, bo patrzyło dziś jak dawniej na odwieczą walkę dwóch stronnictw. Czy znalazło podobne serca, uczucia, namiętności pod surdutem, bluzą, chałatem, jak niegdyś pod tuniką, togą, bisiorem?... Rzucało migotliwe, chwiejące się promienie jakby się trzęsło zanosząc od śmiechu i złotymi wężami podniósłszy się od gmachu i od ziemi, skurczyło się i patrzało już zdala na zamęt ludzkich pragnień, dążeń szlachetnych i podłości, rozumu i ciemnoty, które jak burza miotały stutysięczną ludnością.

Jednym z kandydatów mających najwięcej szans, był uczony dr. Henryk Szczerba. Imię też jego błyszczało na rogach wszystkich ulic i placów... brzmiało we wszystkich niemal ustach, a co najdziwniejsze, że w tym wypadku, obie toczące zaciętą walkę partje zgodziły się na jednego kandydata. Tak przynajmniej było w samym początku. bo później stronnictwo demokratyczne zobaczywszy, co się święci, starało się zręcznie wycofać z błędu, co się jednak nie ze wszystkiem udało.

Dr. Szczerba popularny był między ludem. znano go jako mówcę i jako pisarza, a w jednym i w drugim razie umiał zjednywać umysły. Wbrew usiłowaniom komitetu, mieszczanie upierali się przy jego kandydaturze, zwąc go przyjacielem ludu, wierząc w szczerość jego zamiarów, a na zarzut, że trzyma z panami, z magnatami, odpowiadano że adwokat mądry podszył się lisem, aby tem lepiej służyć sprawie i podejść tamtych. W gruncie rzeczy wywiązało to jednak fatalną trudność. wszczęto walkę burzliwą, i zbytnie nagromadzenie materjałów mogło wydać w ostatecznym rezultacie zgubne skutki Dzienniki toczyły istne turnieje, w których nie szczędzono sobie wzajem i kandydatowi pocisków, w ostateczności jednak znany i zwykły nervus rerum miał szalę przechylić!

Henryk spędził tydzień cały w gorączkowym nastroju, wbrew usiłowaniom silnej swej woli wyrwany ze zwykłego olimpijskiego spokoju i powagi.

Trzy lata minęły od wyż opisanych wypadków, Szczerba w przeciągu tego czasu zmienił się, zmężniał, wypiękniał jeszcze, czarne oczy iskrzyły się w tej chwili wewnętrznym niepokojem, czoło między dumnemi brwiami zarysowały dwie zmarszczki nadając twarzy wyraz głębokiej myśli i pewne piętno niezłomnego charakteru. Ręką gładził czarną krętą brodę i przechadzał się szybkim krokiem po pokoju. Podobny był do młodego Jowisza, kiedy to Jowisz starał się jeszcze o względy ziemianek i ziemian spacerując czasami po ulicach miast greckich w przebraniu zwykłego śmiertelnika. Jeżliby kandydatura go mi-

nęła, zaawansował się zbyt daleko, kosztowało go to zbyt wiele materjalnie i moralnie, obudził nieufność, której niezdoła już zwalczyć, stanął już zbyt wyraźnie przy jednem ze stronictw i zaopinjował swe przekonania zbyt jasno i dokładnie; unikał tego jak najusilniej, dopóki się dało, służąc jednym, a pochlebiając drugim, których ramiona mogły w danym razie posłużyć za szczeble, a ciemne głowy za narzędzia. Masy ludu bądź co bądź zawsze są wszechwładne w pewnych razach i gardzić niemi nie można; co więcej zamierzał je zużyć dla partji, której służył, miał nadzieję, że mu to się uda, a teraz prace i zabiegi lat tylu zachwiaćby miał jeden krok niezręczny. Niecierpliwość ogarniała spokojnego zwykle człowieka w tej chwili oczekiwań i ważących się losów.

Wieczór już zapadł, w ulicy zapalono latarnie, gdy nagle posłyszał śmiechy i głosy licznego towarzystwa dochodzące z wielkiego salonu; zniecierpliwiło go to więcej jeszcze, ale zanim miał czas przejść w drugi róg pokoju, wbiegła do gabinetu Ema w małym kapelusiku, ciemnej, amazonce, z szpicrutą w ręku.

— No i cóż? — zapytała, nie podając mu ręki na powitanie.

— Nic — odpowiedział — jak widzę bawicie się doskonale!... Śmiech, gwar, hałas napełniający z nagła dom cały oznajmił mi. że powróciliście z waszej przejadżki. Ty! książę Miś, Kazio i hrabia Witołd... Nieprawdaż, jesteście wszyscy?

— Ma się rozumieć! I bawimy się doskonale, to się nie da zaprzeczyć — odpowiedziała uderzając z lekka szpicrutą fałdy amazonki.

— Proszę cię, bądź łaskawa i połóż to Emo — rzekł odbierając pręt z rąk żony. — Zdaje mi się że prosiłem cię, żebyś zaprzestała na czas jakiś przejażdżek konnych!

— Tak, mówiłeś mi coś podobnego — odrzekła obojętnie — nie uważałam jednak za stosowne...

— Nie uważałaś za stosowne wysłuchać mej prośby — przerwał gwałtownie.

A jednak leży to w wspólnym naszym interesie... pokazujesz się konno w mieście, w czasie kiedy zręczna agitacja każdą, rzecz najdrobniejszej wagi zużyć może na moję niekorzyść. W zacofanych tutejszych pojęciach kobieta na koniu obraża ciasne wyobrażenia ich o moralności, a w dodatku towarzystwo, w jakiem się pokazujesz, szkodzi mi w opinji ludzi, których potrzebuję Żona Henryka Szczerby jeździ konno i to jeszcze w towarzystwie ludzi nielubianych w mieście, rozstrzepanej młodzieży.. co to za pyszna broń dla moich przeciwników! Mogłaś przecie zrobić to dla mnie.

— Proszę cię bardzo — rzekła Ema — stawiasz doprawdy śmieszne wymagania. Towarzystwo, jakiem się otaczam jest zupełnie, comme il-faut.. a ja nie myślę pochlebiać mieszczuchom i plebsowi dlatego, że tobie się tak podoba!

— Jesteś w istocie kochającą żoną i rozumną — zawołał z ironją.

— Kochającą i rozumną — podchwyciła Ema z gniewem. — Tak rozumną jestem, zupełnie na ten sposób co i ty, bo używam życia i bawię się jak umiem! Żyję na własny rachunek, skoro inaczej być nie może i uprzyjemniam sobie życie ile zdołam!

— Cóż w tem złego że się bawię?

— Kobieta twej pozycji powinna mieć cel inny jak bezustanne bawienie się, są zajęcia poważniejsze... masz dziecko.

— Nie myślisz przecie — zawołała Ema z uśmiechem — abym je sama przewijała i kołysała cały dzień nucąc czułą piosnkę o kotku i Filonie?! Mój drogi każda klasa ma swoje prawa, swoje prace i zabawy, ja robię tylko to, co zwyczaj uświęca, ulegam nawet poniekąd prawu towarzyskiemu, które mnie do tego zniewala! Jeżeliś chciał mieć taką idealną kołysankę w domu, trzeba było wziąść za żonę szlachcianeczkę lub szwaczkę!

— Emo, unosisz się! — rzekł Szczerba hamując oburzenie i gniew. — A jednak gdybyś chciała, znalazłabyś wzory szlachetności w twej sferze, w pośród kobiet kochających.

— A! poraz drugi wymawiasz ten wyraz—przerwała Ema gwałtownie zrywając się z kanapki. —Nie mów ty mnie o miłości... między nami czyż o tem mowa być może? Wiesz dobrze... kochałam cię, wychodząc za ciebie... kochałam cię pierwszą, gorącą, szczerą miłością... mogłeś był ze mnie zrobić wszystko, co ci się podobało.., mogłeś ze mnie był zrobić wzorową kobietę według twych wyobrażeń, jakkolwiek sprzeczneby one nawet były z wrodzonemi skłonnościami mojemi i wychowaniem!... A! był czas, że oczyma żebrałam twego spojrzenia — że płakałam z tęsknoty za tobą długie samotnie dni i wieczory.. upajałam się każdym twym pocałunkiem, każdą chwilą rozmowy! Ale z twej strony, cóż? Po pierwszych uniesieniach, które kto wie czy nie były komedją... stałeś się zimny i obojętny—nie istniałam prawie dla ciebie! Spędzałam dni całe, tygodnie, miesiące, widząc cię zaledwie niekiedy przy stole, bo czas ci zabierały: praca, ambicja, polityka... czy ja wiem co? Ale nie mogłeś go znaleść dla żony! Byłabym z radością podzielała twoje prace i dążenia, byłabym ślęczała w twym gabinecie nad tą głupią polityką i przepisywała twoje artykuły — ale wyśmiałeś mnie, nazwałeś to kobiecym kaprysem, fantazją, niestosownością, sawanterją.. Z kolei używałam wszelkich możliwych środków, aby cię rozkochać — stroiłam się dla ciebie, kokietowałam ciebie i innych, ażeby rozbudzić zazdrość!... Wszystko nadarmo! Duma moja oburzała się na to ale miłość silniejszą była od niej! Później dowiedziałam się, że kochałeś inną, która umarła, gdyś ją opuścił. Ta śpiewaczka czy nauczycielka śpiewu przyniosła tu zeschłe jakieś gałązki, jako ostatnią pamiątkę po umarłej, która przecież była twą pierwszą miłością, była narzeczoną twoją? pamiętasz? Wrzuciłeś listki zechłe między niedopałki cygar w popielniczkę z uśmiechem, gdy ta kobieta odeszła, — może aby nie wzbudzić we mnie zazdrości?!.. Ale nie miałam czego być zazdrośną! Wtedy poznałam że nie kochałeś ani mnie ani tamtej... nie kochałeś żadnej i nikogo i nic, oprócz siebie samego! Od tego czasu pogardzam tobą i nienawidzę cię! Nienawidzę cię z całej duszy, bo po za temi oczyma, których spojrzenie uwiodło mię kiedyś, nie ma nic: nic! pruchno! lichsze jeszcze niż u tego Misia, Kazia, Witołda, i u całej tej złotej młodzieży która mnie otacza! Oni przynajmniej są szczerzy, śmieją się, bawią się, nieszkodliwi przynajmniej, kiedy ty...

— Wybrałaś bardzo niestosowną chwilę na podobnie melodramatyczną scenę Emo, racz skrócić przynajmiej tyrady! — rzekł Henryk.

— Dobrze, kończąc powiem ci, bo trzeba abyś to wiedział: bawię się aby zapełnić próżnię i nicość! Mogłam przecież być kochaną, szczęśliwą, gdybyś ty nie znalazł się na mojej drodze... Mais je prends mon part! Szla-

chcianki, szwaczki, aktorki, umierają z tego — my śmiejemy się — a czasem obmyślamy zemstę!

Równocześnie z ostatniemi słowy zabrzmiała rozgłośna muzyka i liczne zmięszane głosy i krzyki w ulicy. Tłum zatrzymał się przed oknami, a okrzyki frenetyczne wzmagały się.

— O! zwyciężyłeś — ty zawsze zwyciężasz! Masz szczęście — rzekła Ema ze śmiechem — to i dobrze, pojadę do Wiednia, tu było zanadto już nudno.

Muzyka grała fanfarę a okrzyki tłumu rosły. Szczerba wyszedł na balkon, powitano go rozgłośnem „Vivat“ a on piękny i spokojny jak zwykle, w krótkich słowach dziękował wyborcom.

— Co najparadniejsze — rzekł książe Miś, że kiedy twój mąż piękna kuzynko, wybrany przez naszych, kiedy my głosowaliśmy za nim, kiedy on wreszcie nasz, duszą i ciałem, to mieszczuchy wrzeszczą i wyprawiają mu owację! To mi spryt u tego człowieka, wodzi ich za łby jak barany! Voila l' esprit!

— Poczciwy ludek, jakiż on głupi! rzekł Witołd, możebyś pani wyszła także na balkon, toby sprawiło niezwykły efekt!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z wystawy sztuki w Krakowie.

(Matejko, Pruszkowski, Kotowicz, Sozański, Rybkowski, Tombiński, Langman, Błotnicki, Gujski.)

Rysunki Jana Matejki przeznaczone jako kompozycje do obrazów mających wypełnić Ikonostas cerkwi św. Norberta w Krakowie, jako całość stanowią dzieło pełne siły genjalnej, jaka ożywia wszystkie utwory twórcy Rejtana Hołdu i Kazania Skargi. — Śmiałość, oryginalność pomysłu i bogactwo linji nadające postaciom ożywienie, ruch, ekspresją, oto przednie tych rysunków zalety. Treść ich zaczerpnięta z motywów religijnych a zatem narzucających z góry pewne formy i wymagania nader ściśle, nie zdołała jednak skrępować i nagiąć samodzielności artysty, który i tym razem z właściwą sobie swobodą stworzył rzeczy nawskróś charakterystyczne i indywidualnie pojęte rozrzucając genjalne błyski, istne perły ducha, które tym utworom zapewniają niepoślednie miejsce w kreacjach sztuki. — Rysunki te wyobrażają: „Zwiastowanie“, „Hołd trzech mędrców Wschodu“, „Wieczerzę Pańską“, „Ukrzyżowanie“, „Zesłanie Ducha św.“, „Zmartwychwstanie“, „Wniebowzięcie N. Panny Marji“, i „Chrystusa błogosławiącego z obłoku“. Szereg ten zamykają wizerunki Apostołów; postacie te skomponowane są po mistrzowsku — z każdej widnieje zapał i potęga niezmierna, właściwa tym pierwszym, bohaterskim krzewicielom Ewangielii i nieustraszonym siewcom nauki miłości bliźniego w pośród zmaterjalizowanego pogańskiego świata.

Malarstwo religijne, które w XVI-tym wieku potężnym duchem mistrzów odrodzenia stworzone, doszło do kulminacyjnego punktu, jest w swojej tak artystycznej, jak i liturgicznej formie na wskróś skończone, a wszelkie usiłowania stworzenia czegoś oryginalnego nie odnoszą już palmy zwycięskiej w obec arcydzieł dawniejszych mistrzów, których wydała głęboka i poetyczna wiara średnich wieków. Zrozumieli to i tacy pobożni artyści, jak Schnorr v. Carolsfeld, Overbeck, Türich i w religijnych swych utworach ściśle trzymali się form utartych, nie szukając nowych dróg. Bardziej jeszcze ścieśnioną jest sztuka gr. katolickiego kościoła. Bizantyński charakter, który jest rdzeniem tej sztuki i którego najgenjalniejszy artysta obejść nie może, tamuje tu polot fantazji, (zostawiając jej jedynie swobodę w przepychu kolorytu) a zmusza do oddania myśli w formie już przez liturgją obrządku tego narzuconą. Kompozycje Matejki, przeznaczone na obrazy do kościoła bizantyńskiego stylu grzeszą tem, z wyjątkiem jednego, jedynego obrazu nie posiadają żadnych cech znamiennych tegoż stylu. Obraz ten to „Chrystus błogosławiący w obłoku“ wypełnić ma górną część Ikonostasu — wszystkie zaś inne skupiły w sobie w wysokim stopniu li tylko indywidualność artysty, którego dzieła trudnoby podporządkować do kategorji tej lub owej szkoły, ale które najwięcej mają wspólnego z epoką barokową.

Wspomniany „Chrystus błogosławiący“ skomponowany podług form liturgii obrządku greckiego, obraz to bardzo piękny, pełen powagi, wielkości i spokoju. Ze wszystkich innych najpiękniejszym niemal jest „Hołd trzech królów“. Madonna, pełna uroczej prostoty trzyma na kolanach małego Jezusa, który przyjmuje dary magów: mirrę, kadzidło i złoto. Piękny ten rysunek przypomina obrazy włoskie i opromieniony jest niewysłowionym wdziękiem. „Ukrzyżowanie“ również zaliczyć należy do przedniejszych a każdy z rysunków zawiera w sobie jakąś cząstkę bogactw, jakiemi rozporządza duch twórczy Matejki.

Obraz Pruszkowskiego „Na kwiatach“ należący mówiąc nawiasem, do utworów dawniejszych tego malarza, jest jedną z fantazji artystycznych co to się rodzi z miłości dla gry kolorów i światła. Na kwiatach, na olbrzymiej kaskadzie kwiatów, w których przeważają kolory różowe, białe, liljowe, miękko spoczywa młoda kobieta, naga, przytulona do kwiatów, z oczyma wpółotwartemi, jakby upojona wonią róż i marzeniem. Obraz ma dużo zalet kolorystycznych głowa kobiety śliczna — ale rysunek ciała, zwłaszcza górnej części i biustu wiele ma wadliwości. Kwiaty malowane są nazbyt niewyraźnie, domyślać się można że są tam róże, liljowe bzy i bratki może, ale najlepszy botanik nie mógłby dla kwiatów tego płótna odszukać imienia ni rodziny — karnacja ciała kobiety szara jakaś brudnawa. — Z tem wszystkiem, żywość kolorytu, miękkość i ciepło pozwalają zapomnieć o usterkach.

Obrazek Kotowicza zatytułowany „Zdrowie państwa młodych“ przedstawia wnętrze pokoju, w którym przy stole zgromadziła się rodzina; ojciec, matka, córka i młody ułan narzeczony, ksiądz Bernardyn który wznosi zdrowie kochającej się pary. Ułan się uśmiecha, panna się rumieni i ręką twarzyczkę przysłania, twarze starych rodziców promienieją radością. Obrazek ten rodzajowy w całem znaczeniu jest milutki a tak tematem jak i starannem wykonaniem na wszelkie zasługuje uznanie.

W sali akwarel umieszczono liczne prace Sozańskiego, odznaczające się miłym kolorytem i często wyborną charakterystyką — znajduje się tu także kilka akwarel artystów włoskich.

Mały obrazek Rybkowskiego „Ukrainka“ wcale udatny, a lubo w szczegółach zbyt może wyszukany i trochę za konwencyonalnie ładny, jest jedną z lepszych prac tego artysty.

Rzeźba tym razem nie wiele dała nowości. — Tombińskiego „Grajek“ ma wiele sentymentu i ciepła — szkoda że twardość w modelowaniu i błędy rysunku obniżają

wartość tego ładnego popiersia. Langmana „kobieta żebrząca“ w wykonaniu niedbała a pod względem kompozycji, jakkolwiek jest bezwątpienia dokładnem i wiernem upostaciowaniem ludzkiej biedy i nędzy tego łez padołu, to nie zadawalnia uczuć estetycznych.

Pracy tej brak owego poczucia piękna, które uszlachetnia nawet skrzywienie fizycznego bolu, a w prozaiczne motywa z codziennego życia, wlewa jakąś cząstkę piękna, rozjaśnia je iskrą natchnienia i opromienia.

Błotnickiego „Chłopak puszczający bańki z mydła“ odznacza się realizmem, tak w samym już temacie wziętym z codziennego życia, jak i w wykonaniu, które ściśle oblicza się z prawdą, i studjuje naturę sumiennie. Biust chłopca wykonany w terrakocie, całość nader wdzięczna.

Morceli Gujski dał figurę naturalnej wielkości przeznaczoną na pomnik dla hr. Branickiego. Ciało zmarłego leży na łożu śmierci przykryte całunem, górna część ciała odkryta, ubrana w koszulę, prawa ręka spoczywająca na piersi trzyma krzyż, druga opadła wzdłuż ciała. — Całość kompozycji nazbyt jest monotonna, ciało wyciągnięte sztywnie prosto i martwota trupia oddana z przesadnym realizmem, twarde modelowanie szczegółów pod fałdami draperji, w której gubi się ciało zmarłego, robią wrażenie przykre, niemal nieestetyczne. Głowa tylko, która mówiąc nawiasem, chyba zesztywnieniu trupa, nienaturalny swój ruch zawdzięcza, jest wiernym portretem zmarłego i modelowana jest wybornie. Ręka znakomitego portrecisty rzeźbiarza, mistrza w swym rodzaju, położyła tu swe piętno.

Solvera.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

Towarzystwo im. Mickiewicza wydało drugi rocznik swojego „pamiętnika“. Jest to gruby tom i zawiera cenne publikacje literatów pracujących nad komentowaniem dzieł i życia wieszcza.

Świeżo opuściła w Krakowie prasę nakładem „Świata“ nowela Walerji S o l e c k i e j pt. „Ksiądz Nykoła“. Jest to barwne opowiadanie, włożone w usta djaka i odznacza się, jak wszystkie dotychczasowe prace tej utorki świeżością myśli i zajmującym sposobem pisania.

Pan Tadeusz, wydany przez Macie z Polską w 15 tysiącach egzemplarzy został już wyczerpany. Wkrótce ma się ukazać drugie wydanie stereotypowe w 20.000 egz.

Spuścizna po Kraszewskim. Po Kraszewskim znajduje się pełno rzeczy, które nie były dotąd drukowane. Do tej spuścizny po wielkim pisarzu przybywa nowa rzecz w postaci 38 listów Kraszewskiego, pisanych w przedmiocie pedagogiki i w ogóle zawierających poglądy autora na nauczycielstwo domowe. Listy te były pisane w ciągu dwóch lat, 1852 i 1853, do nieżyjącego już śp. Karola Ochranowskiego, nauczyciela prywatnego, a kolegi szkolnego Kraszewskiego. Ochranowski, bałamkarzując gdzieś w Poznańskiem, napisał do głośnego powieściopisarza list z przypomnieniem dawnego koleżeństwa. Kraszewski swoim zwyczajem bezzwłocznie odpisał i prosił kolegę o utrzymanie korespodencji. Ztąd zebrało się aż 38 listów, w których Kraszewski bardzo mało pisze o sobie, a podaje koledze luźne lecz trafne uwagi, dotyczące nauczycielstwa domowego. Ochranowski, opuściwszy kraj, udał się za ocean i dalsza korespondencja została przerwana. Obecnie wszystkie listy Kraszewskiego dostały się siostrze śp. Ochranowskiego, pani Józefie Brudzyńskiej. Właścicielka tej korespondencji postanowiła ogłosić ją drukiem.

P. Władysław Mickiewicz autor dzieła p. t. »*Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre*«, zamierza dzieło to, znacznie rozszerzone, wydać w języku polskim, co uważamy za bardzo pożądane, nikt bowiem nie rozporządza tak bogatym materjałem do biografji naszego wieszcza, jak syn jego p. Wł. Mickiewicz. W pracy francuskiej, ograniczonej do jednego tomu, mógł zużytkować cześć tylko tego materjału i o niektórych momentach z życia swego ojca, do których posiada b. bogate źródła, z konieczności zmuszony był wzmiankować tylko pobieżnie. Musiał przytem zwracać uwagę i na to, że pisał książkę dla francuzów. W polskiem opracowaniu, gdyby cały materjał mógł być zużytkowany, dzieło urosłoby do rozmiaru trzech tomów.

Beniowski po serbsku. Książę Mikołaj Czarnogórski przerobił i wydał po serbsku „Beniowskiego“. Utwór Słowackiego ma w przekładzie formę udramatyzowaną, ale nie sceniczną.

F. A. Hora, profesor w Pilźnie, miłośnik języka i literatury naszej i sumienny tłómacz wielu rzeczy z polskiego, wydał niedawno wyborny „Podręcznik rozmów czesko-polskich. Praga. Nakładem księgarni A. Storch syn. 1887 r. Obecnie zaś drukuje „Słownik polsko-czeski“.

Jokai — jak donoszą pisma warszawskie — przybyć ma do Warszawy w drugiej połowie października, zwidziwszy przedtem Lwów i Kraków. Celem podróży... studja do powieści.

Międzynarodowy kongres literacki orzekł, że prawo własności autorskiej obejmuje i tłumaczenia, oraz wyraził życzenie, żeby Północna Ameryka przyjęła konwencję berneńską.

Teatr i muzyka.

W teatrze lwowskim sezon zimowy rozpoczął się pod pomyślną gwiazdą. Dyrekcja przedstawiła w niespełna miesiącu cały szereg nowości i trzeba przyznać, że wybór jej odpowiadał wszelkim wymogom poważnej krytyki. Ujrzeliśmy najpród „Dziwaka“ komedję Aleksandra Mańkowskiego, odznaczoną na konkursie warszawskim, następnie sławną „Myszkę“ Paillerona, jednoaktówki „Gringoire“ Banvilla i „Pomyłkę pana Lambineta“ Meilhaca i Hal vy'ego, „Wyznanie“ Sary Bernhardt, wreszcie farsę „Niespodzianki rozwodowe“ przez Bissona. Z repertoaru operowego nie możemy co prawda zanotować żadnych nowości, natomiast w personalu zaszły pewne zmiany. Zaangażowano mianowicie na szereg występów bardzo dobrą śpiewaczkę koloraturową Olgę Berghi, jakoteż tenora p. Jerzynę, wróciła też na scenę pani Skalska i p. Łomiński, który przez kilka miesięcy dopełniał nauki śpiewu w Wiedniu. Przy pomocy pani Kasprowiczowej, Koncewicza i Laskowskiego, śpiewaków do wszystkiego, mieliśmy kilka przedstawień opery wcale niezlej Dodajmy, że dyrekcja zaangażowała jeszcze znanych śpiewaków Jeromina (bas) i Wierzbickiego (baryton) a sezon operowy przedstawi się nam wcale korzystnie. W operetce wreszcie zanotować należy nabytek dla sceny naszej pani Anny Bockay i przygotowujące się „Mikado“, które ma ożywić repertoar w tym dziale i napełniać zarazem kasę teatru. Ot, byłoby i wszystko.

Z wyliczenia tego, nazwisk i tytułów już widać, że dyrekcja lwowska wzięła się do rzeczy na serjo i że przy staranności zyska sobie to zaufanie, jakie do kierownictwa dalszego tą instytucją jest koniecznie potrzebne. Zwrot ku lepszemu widoczny jest jednak i w kierunku innym, mianowicie w administracyjnym i artystycznym. Co do tego ostatniego przyznać trzeba, że przedstawienia dotychczasowe były staranne i nie raziły brakiem przygotowania, tak częstem w ubiegłym sezonie, jakkolwiek co do obsady ról, jakoteż wystawy niejedno możnaby jeszcze zarzucić. Na każdy sposób chęć polepszenia dotychczasowego stanu jest widoczna co skonstatować miło.

Ruski teatr narodowy pod dyrekcją Biberowicza i Hryniewieckiego przybędzie w październiku do Lwowa, gdzie począwszy od 7. października da 12 przedstawień w sali „Frohsin“.

Debiut. W przyszłym tygodniu wystąpi na naszej scenie w Sienkiewicza „Czyja wina“ p. Wanda C h a r l e m a n t, której debiut na scenie warszawskiej tamtejsza krytyka wcale przychylnie przyjęła.

Teatr w Łodzi. Dyrektor nowozorganizowanego Towarzystwa artystów dramatycznych, które się osiedli w Łodzi, p. Lucjan Kościelecki, rozesłał już zaproszenie na przedstawienie inauguracyjne w teatrze łódzkim, które odbędzie się w dniu 6 b. m.

W budapeszteńskiej operze nadwornej występuje obecnie z powodzeniem Teresa Arklowa. Rokowania o gościnne występy z Mierzwińskim, rozbiły się z powodu wygórowanych żądań śpiewaka, na które indendantura teatrów królewskich w Budapeszcie wobec zaprowadzonego systemu oszczędności, nie mogła przystać. Ta sama racja staje na przeszkodzie zaproszeniu na gościnne występy pani Kochańskiej.

Sezon koncertowy. Do Lwowa przybędzie śpiewaczka Nikita, pianista d'Albert słynny kompozytor, pianista francuski Camillo Saint Seëns i nadworna śpiewaczka Minie Hauck. Koncerta powyższe odbędą się w październiku.

Sztuki plastyczne.

Na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie, powszechną zwracają uwagę, jak piszą ztamtąd do „Kraju“, dwa obrazy p. *Pawła Merwarta* „Bachantka w spoczynku“ i „Strzelec-gimnasta“. Bachantka jest bardzo dobrze modelowanem studjum ciała kobiecego w naturalnej prawie wielkości, ale realistyczne to studjum, pomimo pejzażu morskiego użytego za tło, pomimo groty czy chaty wklęśniętej, pomimo skóry tygrysiej i rozrzuconych winnych gron, nie przenosi nas myślą w czasy Romy lub Helady. Po za tem trzeba przyznać, że malowanie jest wyborne. Figura kobiety traktowana miękko i soczyście, odbija wypukle od tła, odznaczającego się trafną perspektywą powietrzną. Strzelec jest tem, co zapowiada, — dobrze malowanem studjum dość pospolitego modelu.

Profesor rysunków Marjan Jaroczyński, od r. 1852 tj. od założenia szkoły realnej w Poznaniu zatrudniony przy instytucie, obchodzić będzie w tym roku 50-letni jubileusz swej artystycznej działalności. Liczny zastęp jego uczniów zamierza podobno zakupić z okazji tego jubileuszu wyborny portret jubilata, malowany przez niego samego, dla poznańskiego muzeum, gdzie profesor Jaroczyński ma swoją pracownię. Profesor Jaroczyński kształcił się u malarza Voelkera i na akademii berlińskiej sztuk pięknych pod dyrektorem Schadowem.

Nowy obraz Matejki „Piotr Dunin, wojewoda na Skrzynnie i Borkowicach, wprowadzający zakon Cystersów do Polski“, pojawił się na wystawie sztuk pięknych w Krakowie. Ma to być jeden z obrazów stanowiących cały cykl, nad którym mistrz obecnie pracuje, a streszczać będzie w sobie historję cywilizacji w Polsce.

Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego w Lipsku został odnowiony przez miejscowe stowarzyszenie, zajmujące się restauracją pomników. Ponieważ przytem znajdował się w zakątku, odsłonięto go więc przez rozebranie kawałka zasłaniającego go muru. Na pomniku znajduje się napis i wizerunek księcia, jego herb, buława marszałkowska, hełm i godła.

„Jan Hus przed soborem Konstanckim“, znakomity obraz czeskiego mistrza Brożika, ma być sprowadzony do Lwowa i wystawiony w sali „Narodnego Domu“ od 15. do 25. bm.

Zmarli.

† **W Douai we Francji** zmarł d. 5 sierpnia r. b. w 78 roku życia Jan-Napoleon *Koszutski*, wychodźca b. profesora liceum w tem mieście. Zmarły cieszył się ogólnym szacunkiem swoich i obcych. Pozostawił czterech synów, będących oficerami w armji francuskiej, piąty zginął 1870—71 r.

† **Wanda Zagórska**, nauczycielka przy szkole wydziałowej żeńskiej, znana z prac artystyczno-rzeźbiarskich zmarła we Lwowie.

† **W Obersdorf** zmarł profesor Pranth, znany dziejopis i członek akademji berlińskiej.

Łamigłówka.

patos — laur — karny — chudy — rano — robak.

Z powyższych wyrazów utworzyć inne i tak je uporządkować, aby początkowe litery dały imię króla Aten.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść Z. Rudnickiej „Miłość i Wola“.**

Rozwiązanie zadania kwadratowego.

Z	**a**	m	b	e	z	**i**
M	**a**	l	a	k	**k**	a
k	o	**l**	a	**c**	y	a
k	a	d	**e**	c	k	i
k	o	**ł**	y	**s**	k	a
L	**a**	s	i	c	**k**	i
M	a	r	c	o	n	**i**

Rozwiązanie paralelogryfu.

Łuków — **U**jazdowski — **K**aulfuss — **A**ntymow — **S**iejkowski — **I**zdebn**o** — **N**arajów — **S**erapi**s** — **K**azbek — **I**rak-**A**dżem**i**.

Łukasiński — Wiśniowski.

Rozwiązanie szarady.

Okulary.

Ponieważ nikt wszystkich zadań nie rozwiązał, przeto nagrodę przeznaczamy jeszcze raz za rozwiązanie w tym numerze.

Rozwiązania zadań z XVIII. zeszytu „Ruchu“.

Rozwiązanie szarady.

Kar — li — ca.

Rozwiązanie zadania spółgłoskowego.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie,
Nie sądź ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie!
Kto prawdziwie czuć nie zdolny
Ten się szumem sławy pieści,
Potok głośny i swawolny,
Mało wody w sobie mieści.
Lecz spokojnej ciszy toni
Zwykle wielka głąb zwiastuje,
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje.

Adam Asnyk

Dobre rozwiązania nadesłali pp: Pinder, Ranke, Klein, Ziembiński we Lwowie, Urząd pocztowy w Żurowie, Wurst w Kossowie, Bernacka w Krakowie, S. Plank w Kołomyi, J Olszewski w Samborze, Płaczyński w Tuchowie, Biliński w Horodence, D. Lehman w Wyżnicy, Józefowicz w Długiem, H. Süsser w Krakowie.

Premję wygrał przy losowaniu p. ***Szczepan Plank*** w Kołomyi

Korespondencje Redakcji.

P. Bil. Horodenka. Zrobiliśmy tak, jak nas do tego skłoniła konieczność.

P Jw. Polana Zapytujesz nas pan czy „wolgeboren“ bez „h“ pisane jest błędem? Nowa pisownia niemiecka daje dużo pod tym względem wolności, jednak w tym wypadku wskazanem jest trzymać się pisowni dawnej.

P. R. S Kraków Sylwetka Henryka Ibsena wyszła w lipcu b r. nakładem *Ruchu.*

P. H. Dr Lwów. Pomimo najszczerszych chęci, nie możemy.

Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU i WIECZORACH ZIMOWYCH“ upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.

TREŚĆ Nr 28 (19). Do czytelników. — W śmiertelnych zapasach, powieść przez J. Rogosza (c d.) — Dalej i dalej, wiersz przez M B. — Henryk Szczerba, powieść przez W. Solecką (c d.) — Z wystawy sztuki w Krakowie. — Kronika literacka i artystyczna — Łamigłówka. — Rozwiązania. — Korespodencje od Redakcji.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki.

Z drukarni nar. W Manieckiego, zarządca Walenty Hodak